

Antoine Laurain



Kwiaty z cukru

powieść nie całkiem
kryminalna

Collection
NOUVELLE
najnowsza proza francuska

NOWELA
WYDAWNICTWO

Spis treści

Część pierwsza	9
Część druga	93
Część ostatnia	177

Kwiaty z cukru

Antoine Laurain

Kwiaty z cukru

przekład Adriana Celińska

Collection
NOUVELLE
najnowsza proza francuska

NOWELA
WYDAWNICTWO

Tytuł oryginału francuskiego *Le Service des manuscrits*

Copyright © Flammarion, Paris, 2020

Copyright © Wydawnictwo Nowela, Poznań 2022

Copyright © for the translation by Adriana Celińska

Redaktor serii Emilia Zwoniarska

Opracowanie graficzne i skład JNK Graftekst Justyna Nowaczyk

Grafika na okładce © Pixabay

ISBN 978-83-67029-52-0

Nowela sp. z o. o.

ul. Żmigrodzka 41/49

60-171 Poznań

Dział handlowy (+48 61) 847 40 40

www.nowela.pl

e-mail: zamowienia@nowela.pl

*Książka żyje własnym życiem.
Ci, którzy muszą zginąć, zginą.*



Część pierwsza

Marcel Proust ociężale uniósł powieki i popatrzył na nią życzliwym, lekko ironicznym wzrokiem, jakby dokładnie wiedział, dlaczego tam jest. Violaine zatopiła spojrzenie w twarzy autora *W poszukiwaniu straconego czasu*. W cieniach pod jego oczami, perfekcyjnie wyszczotkowanych wąsach i kruczoczarnych włosach. Ubrany w futro z wydry siedział na drewnianym krześle tuż przy łóżku. Prawą rękę oparł na lasce z uchwytem ze srebra i kości słoniowej, a lewą miękkimi pociągnięciami gładził lśniące włosie palta. Violaine przekręciła głowę na poduszce i z zaskoczeniem odkryła, że odwiedziło ją kilkoro pogrążonych w milczeniu gości, którzy stali niemal bez ruchu. Mężczyzna w beżowym golfie, z rozczochranymi włosami i dziwaczną kozią bródką, bez wąsów, to nie kto inny jak sam Georges Perec. Głaskał siedzącego na cokole czarnego kota, który z zadowolenia wyginał grzbiet i wyciągał pyszczek w stronę pisarza. Człowiek i zwierzę patrzyli na siebie całkowicie zaabsorbowani prowadzoną telepatycznie rozmową.

Michel Houellebecq w sztruksowych spodniach i wyblakłej dżinsowej koszuli stał przy oknie i z nieobecny spojrzeniem zawieszonym na linii horyzontu powoli zaciągał się papierosem; gęste spirale dymu w świetle padającym z zewnątrz przypominały niebieskawo-mleczne obłoki. Z profilu przypominał starego czarnoksiężnika z jasnymi, zakrywającymi kark włosami w kolorze lnu i wąskimi ustami.

– Michel! – chciała zawołać Violaine.

Lecz żadne słowo nie wydobyło się z jej ust.

Wcześniej nie zauważyła, że na podłodze przy łóżku siedziała młoda brunetka i ze wzrokiem wbitym w ścianę cicho szeptała. Tak cicho, że Violaine nie była w stanie zrozumieć, co mówi. W pokoju była też Virginia Woolf w białej długiej sukience, z włosami zebranymi w kok, o kameowym profilu jakby wyrzeźbionym w muszli. Violaine najpierw zamknęła, potem otworzyła oczy. Wciąż tam byli. Obróciła głowę, spojrziała na drugie okno, przed którym na tle jasnych promieni słońca rysowała się wysoka postać. Patrick Modiano. Zatracił się w poważnej dyskusji z młodą blondynką w czarnej sukience, która stała tak, że nie było widać jej twarzy. Pisarz musiał się pochylić, żeby spojrzeć w oczy swojej rozmówczynie, która potakująco kiwała głową.

– Patrick... – chciała wyszeptać Violaine.

Lecz ponownie nie była w stanie wydusić z siebie najmniejszego dźwięku. Mimo to Modiano powoli obrócił się w jej stronę i obdarzył ją bacznym, zaniepokojonym spojrzeniem. Uśmiechnął się nieznacznie i położył palec wskazujący na ustach.

*

– Otworzyła oczy... Odzyskała przytomność – zapewnił kobiecy głos. – Proszę zawołać profesora Falviera. Jest dobrze, proszę się nie bać, jesteśmy z panią – dodał głos.

Urażona Violaine już miała zaoponować, że wcale się nie boi, bo nie jest sama. Są z nią Proust, Houellebecq, Perec, Woolf i Modiano.

Jeśli wierzyć sondażom, których wyniki opublikowano w ostatnich latach, dwa miliony Francuzów marzy o wydaniu książki. Większość snuje jednak fantazje o powieści, której nigdy nie napiszą. Do końca życia będą cyzelować w głowie projekt-mrzonkę, dopieszczać go w czasie urlopu. Pod warunkiem oczywiście, że zrezygnują z basenu, kontrolowania temperatury grilla i w półmroku panującym w domu usiądą przy biurku, żeby w blasku ekranu komputera przeredagować napisane dzień wcześniej strony. Często będą rozprawiać o książce, która „w nich” kiełkuje. Ich bliscy, początkowo pełni podziwu, z czasem nie widząc większych rezultatów, zaczną wymieniać porozumiewawcze spojrzenia, kiedy przyszły autor z zachłanym zadufaniem wspomni o swojej twórczości, zarzekając się, że w te wakacje wreszcie się przyłoży. Na próżno jednak. Upłynie kolejne bezproduktywne lato, a potem równie jałowa zima. Widma nienapisanych książek spowijają literaturę niczym warstwa ozonu Ziemię.

Ci, którzy nigdy nie przekroczą progu trzech pierwszych stron i zarysu fabuły w punktach, są w gruncie rzeczy nieszkodliwi. Żadne ich dzieło nie zostanie wysłane na adres redakcji. Lecz niewielki procent aspirujących pisarzy zaprze się i napisze. Naprawdę napisze. Poświęci trzy miesiące lub nawet pięć lat życia, nieważne, liczy się, że skończą z opasłym plikiem bia-

łych kartek w dłoni. Kartek zbindowanych plastikową spiralą, z tytułem, ich nazwiskiem i tym najważniejszym słowem „powieść”, dumnie wydrukowanymi na pierwszej stronie, czcionką Times New Roman, wielkości dwudziestu pięciu punktów. Z ich własnym maszynopisem. Z egzemplarzem wydrukowanym kartka po kartce, od pierwszej do ostatniej strony, owocem bezsennych nocy, wczesnych pobudek bladym świtem, pospiesznie bazgranych notatek w metrze czy na lotnisku, pomysłów natrętnych niczym atakujące osy i wpadających niespodziewanie do głowy pod prysznicem lub na biznesowym lunchu, a jednym sposobem, żeby się ich pozbyć, jest zapisanie ich jak najszybciej w czerwonym notatniku Moleskine albo w smartfonie, w aplikacji Notatki. Bo okażą się kluczowe dla fabuły. Albo niekoniecznie.

*

Dla tych, którzy dojdą do słowa „koniec” i niestety nie mają znajomości w środowisku wydawniczym, nadejdzie czas wysyłek. Rankiem lub wieczorem wybiorą się do zakładu poligraficznego, w którym zlecą zrobienie dziesięciu lub dwudziestu kopii maszynopisu z przezroczystą okładką z przodu, niezakrywającą wydrukowanego na pierwszej stronie tytułu, i tekturową czarną lub białą podkładką z tyłu, oczywiście zbindowanego za pomocą plastikowej spirali – czarnej lub białej, co jest zresztą bez większego znaczenia, bo występują tylko w tych dwóch kolorach. Potem wrócą do domu objuczeni ciężką siatką ważącą tyle co truchło osła i nadejdzie uroczysta chwila wsuwania w każdy egzemplarz utrzymanego w rzeczowym tonie listu motywacyjnego, którego celem, poprzez prezentację najlepszych

aspektów dzieła, jest wzbudzenie zainteresowania adresatki bądź adresata.

*

Listy, które Violaine zdecydowanie preferuje, charakteryzują się schludną prostotą, lecz niestety są też inne, wręcz naszpikowane megalomanią, która pozwala nieszczęsnym autorom lub autorkom na zrównywanie ich dzieła z twórczością James'a Joyce'a, Maurice'a G. Danteca, Jima Harrisona czy Ernesta Hemingwaya. Są również indywidua, którym ewidentnie brakuje kręgosłupa moralnego, dlatego wspominają – co prawda bez wgłębiania się w szczegóły – o pokrewieństwie lub przyjaźni łączącej ich ze znaną i wpływową osobą, jakby kryła się w tym zawoalowana groźba, zapowiedź gwałtownego protestu ze strony władzy w wypadku odrzucenia tekstu. Violaine zachowuje najpocieszniejsze, najbardziej absurdalne czy najżałośniejsze listy; trzyma je w specjalnym segregatorze w archiwum redakcji. Na jego grzbiecie widnieje napis: „Insekty”, co mylnie sugeruje, jakoby wewnątrz znajdowała się dokumentacja na temat chrząszczy czy innych skarabeuszy. Znajomi Violaine wiedzą jednak, że w jej ustach to z pozoru banalne, zwyczajne słowo jest jedną z najgorszych obelg.

Zazwyczaj uprzejme i życzliwe wypowiedzi szykownej, roz-taczającej wokół siebie niekwestionowany urok czterdziestolatki o zielonych oczach i brązowych, rozświetlonych rudymi pasemkami włosach przyciętych równo na wysokości ramion, ubarwiają przykładowo następujące zdania: „Rano przyszedł e-mail od tego insekta...” czy wręcz bezpośrednio zwroty do zainteresowanych: „Czy masz w ogóle pojęcie, z kim rozmawiasz? Insekcie jeden...”.